

Sørøya, dorsze i halibuty

Piotr Motyka: "Latem daleka północ Norwegii ma w sobie coś iście magicznego. Ciągące się kilometrami odludne pustkowia, nie chowające się za horyzontem słońce, surowe szczyty górskie i skaliste klify oblewane wodami Oceanu Arktycznego - te elementy krajobrazu składają się na jedyne w swoim rodzaju przeżycia estetyczne podróżnika. Będąc tam na rybach mogę chłonąć tę atmosferę najpełniej, jak tylko się da - wszystkimi zmysłami, dniem i nocą.



Zakochałem się w tych krajobrazach w czasie mojej pierwszej północnej wyprawy w roku 2005. Byłem wtedy w grupie dobrych kompanów (m. in. z red. Jackiem Kolendowiczem) na Senji i w okolicy Lofotów. Oczywiście na rybach. Od tamtego czasu moja miłość do północy nie słabnie i raz na kilka lat muszę tam systematycznie powracać - to jest coś jak nałóg.

Z pomocą wędkarskiej pasji udało mi się poznać wiele egzotycznych dla Polaka i niezwykle spektakularnych widokowo miejsc. Np. wspomniane Lofoty z wysuniętą najdalej w ocean maleńką wysepką Røst, archipelag Vesterålen ze słynnym wielorybniczym safari w okolicy Andenes, półwysep Varanger z malowniczym portem rybackim Båtsfjord, gigantyczny odludny płaskowyż Finnmarkvidda, miasto Trømsø (zwane „Wrotami Arktyki”), skąd Amundsen wyruszał na swoje słynne wyprawy i wreszcie prawdziwy symbol „końca świata” - przylądek Nordkapp. To ostatnie miejsce zaskoczyło mnie jednak złą pogodą. Gdy je odwiedziłem było mgliście i nie udało mi się nacieszyć oczu niezwykłymi widokami, jakie oferuje. W mojej prywatnej „koronie

norweskiej północy” brakowało więc jeszcze tego nieszczęsnego Nordkappu oglądanego przy dobrej pogodzie, a także wyspy Sørøyi – prawdziwej perły krajobrazowej, będącej zarazem istnym wędkarskim rajem. Na realizację tych marzeń czekałem aż do 2022 roku.

Kultowy przylądek

Nasza wędkarska wyprawa na Sørøye była zaplanowana wprawdzie już na rok 2020, jednak kowidowe restrykcje zmusiły nas do odłożenia tej podróży aż o 2 lata. Gdy więc okazało się, że tym razem nic nie stoi już na przeszkodzie, aby ją odbyć, szczęście nasze sięgnęło zenitu. Wyruszyliśmy z Warszawy w pięcioosobowej grupce: ja, Sławek Smółka, Przemek Paziewski, a także Rafał Kowalczyk ze swym synem Mateuszem. Sami wytrawni wędkarze i zapamiętali wielbiciel Skandynawii.

Ponieważ na Sørøye trzeba z lądu przedostać się promem, a wynikająca z rozkładu pora jego odpłynięcia dawała nam sporą rezerwę czasową, postanowiliśmy spożytkować kilka wolnych godzin i wybrać się po drodze na wycieczkę na Nordkapp, czyli geograficzny Przylądek Północny. Już po drodze spotkaliśmy kilka barwnych grup motocyklowych, pędzących w tym samym kierunku. Nordkapp jest bowiem od wielu lat ulubionym celem motorowych pielgrzymek z całej Europy. Chyba głównie ze względu na to, że droga urywa się tam nagle i przed oczami staje nam tylko lodowaty ocean i szlak morski wiodący na Spitsbergen oraz biegun północny. Daje to motocykliście dumne poczucie, że dotarł najdalej jak mógł.

Po przejechaniu podwodnego tunelu oraz dalszych kilkunastu kilometrów wąskimi krętymi drogami, wiszącymi niekiedy nad przerażającymi urwiskami skalnymi, dotarliśmy wreszcie na wytęskniony parking. Zlokalizowany na krańcu trochę księżycowego płaskowyzu na wyspie Magerøya, tuż obok słynnego przylądka. Tym razem pogoda mi dopisała – widoczność była dobra, a wiatr niezbyt silny. Można było zatem pospacerować spokojnie po okolicy, popatrzeć w dół z 300-metrowego skalistego klifu, zrobić sobie fotkę przy słynnym globusie, a na koniec kupić kilka suvenirów i otrzymać pamiątkowy certyfikat w znakomicie zaopatrzonym turystycznym sklepie. Wrażenia były wprost niesamowite: momentami zapierało dech w piersiach! A mi udało się wreszcie do kolekcji północnych dziwów natury dopisać kolejny i to widowiskowy jak mało który.

Kolejną stacją w naszej długiej podróży był Hammerfest – niezamarzający port, uznawany przez Norwegów za najdalej wysunięte na północ miasto świata. Liczy ono sobie niespełna 10 000 mieszkańców i ma burzliwą historię, naznaczoną potężnymi zniszczeniami dokonanymi w czasie II Wojny Światowej – zarówno przez Sowieców, jak i hitlerowskie Niemcy. Hammerfest jest ze wszech miar godnym zobaczenia, ze względu na swe malownicze położenie na stokach gór, prawdziwie północny charakter, a także

zabytkowy, zlokalizowany na jego obrzeżach słup, którym oznakowany jest początek tzw. Południka Struvego - systemu triangulacyjnych punktów pomiarowych. Składa się nań łącznie 265 obiektów na terenie 10 państw, ciągnących się od Hammerfestu do Izmaïtu w okolicy Morza Czarnego. Południk powstał w XIX wieku z inicjatywy Szwecji, Norwegii i carskiej Rosji, a obecnie jest zabytkiem wpisanym na listę UNESCO.

W Hammerfeście musiał zostać nasz samochód, gdyż jedyny pływający do naszego ośrodka prom zabiera tylko ograniczoną liczbę pojazdów rdzennych mieszkańców Sørøyi. Po wniesieniu bagaży na jednostkę rozsiedliśmy się na ławkach i rozpoczęliśmy półgodzinny rejs. Przy wyjściu z zatoki, nad którą zlokalizowane jest miasto, zauważyliśmy duży gazoport z płonącym non-stop wysokim słupem ognia. Magazynowany jest tu gaz ziemny pochodzący z pola gazowego Snøhvit na Morzu Barentsa. Cenny surowiec dociera 168-kilometrową rurą położoną na morskim dnie, a następnie jest wysyłany wielkimi gazowcami na światowe rynki. Podziwiając po drodze piękne widoki zbliżaliśmy się powoli do celu, aż w końcu nasz prom przybił do brzegu w okolicy małej wioski, wtulonej w jeden z fiordów bajkowo pięknej, choć nieco groźnej Sørøyi – czwartej co do wielkości wyspy Norwegii.

Sørøya

Nasz tygodniowy pobyt na wymarzonej wyspie obfitował w wiele wędkarskich przygód, jednak nie sposób nie wspomnieć na początek o warunkach, jakie zastaliśmy w ośrodku. To było coś absolutnie wyjątkowego – nie dość, że położony nad samą wodą, szeregowy domek był prawie nowy, wręcz pachnący świeżością, znakomicie wyposażony i bardzo wygodny, to jeszcze niemal pod naszym przestronnym tarasem znajdował się mały port z zacumowanymi łodziami, a na terenie ośrodka mieliśmy do dyspozycji pomieszczenie do sprawiania ryb z aluminiowymi stołami, dobrym oświetleniem i bieżącą wodą, do którego skrzynie z rybami transportowało się z łodzi specjalnymi wózkami. Ubrania można było suszyć w przeznaczonym do tego, ogrzewanym pomieszczeniu, a zamrożone filety przechowywać w chłodni. Ale esencją tego wszystkiego były łodzie – zdecydowanie najlepsze ze wszystkich używanych przeze mnie dotąd w Norwegii. Te aluminiowe jednostki przypominały małe kutry rybackie. Miały ogrzewane kabiny, pompę i ciśnieniowe sikawki do płukania pokładu, pełną elektronikę, 200-konne niezawodne silniki oraz dużo miejsca przy burtach dla łowiących wędkarzy.

Sørøya słynie z dużych stad żerujących wokół niej halibutów i dorszy, więc na tych gatunkach skupiliśmy się w naszych codziennych połowach. Sama ilość łowionych ryb mogła przyprawić o zawrót głowy. Tak naprawdę zaliczyliśmy tylko jeden słaby dzień, kiedy ryby nie żerowały. W pozostałe dni brały bardzo dobrze przez cały czas, na głębokości od 50 do 150 m. Łwione dorsze miały zazwyczaj od 2 do 10 kg, a halibuty od kilku do kilkunastu. Ponadto naszym łupem padały też brosmys, zębacz, czarniaki i

plamiaki. Jak trafialiśmy na dobry fragment łowiska, zapelnienie jednej wielkiej skrzyni zwykle trwało góra dwie godziny. Nie mogliśmy łowić non-stop, bo kiedyś trzeba było te ryby wyfiletować, coś zjeść, przespać się...

Jeśli chodzi o halibuty, ..."

„Sørøya, dorsze i halibuty” relację z wyprawy przygotował Piotr Motyka na stronie 68 WW 3/23.

9 marca 2023, 00:27